

Przyjaciół Ludu.

ROK DZIEWIĄTY.

No. 6.

Leszno,
dnia 6. Sierpnia 1842.



Jan hrabia Tarnowski.

Rys życia Jana hrabiego Tarnowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Przed dojściem lat utracił ojca; zagna matka, wspierana radami brata, lżejszą mu uczyniła boleść, a troskliwą i ciągłą pieczołowitością, dotkliwą stratę nagrodzić umiała. Syn niezrównaną miłością, czcią i uszanowaniem wypłacać się nie przestawał. Ledwie dotknął kresu młodzieńczego wieku, zaślubił sobie w własnej rodzinie Waleryą hr. Strojnowską, Waleryana hr. Strojnowskiego, senatora państwa rosyjskiego, jedyną córkę, urodzoną z Tarnowskiej. Znalazł w tej towarzyszce swego życia nie tylko wszystkie pociągające zalety i cnoty, ale z niemi jednako przejęcie się obowiązkami, jednako zamiłowanie nauk i sztuk pięknych. Wspólne z sobą skłonności i smak do tego wszystkiego, co jest wdziękiem i ozdobą towarzystwa, pewniejsze i usprawiedliwione rękojmię szczęśliwego pożycia,

cenniejsze nad te obszerne ojca jej dostatki, które mężowi w posagu wnieść miała.

Pełność w sercu szczęścia, którego używał, zubożony umysł wiadomościami, obudzony w wczesnych uczuciach piersiach iskrę poezji. Objawiał ją rymem w listach do przyjaciela, w których malował swoje domowe szczęście, swoje nadobne ustronie, powabne niegdys województwa sandomierskiego widoki, historyczne jego pamiątki, całą drzew, roślin, kwiatów rodzinę; a że do zupełności szczęścia jedno miał jeszcze w sercu życzenie, przepłatał opisy tęsknotą i nadzieją, które w tkliwych wyrazach zdradzały krew, jaka w żyłach jego płynęła: przecież tego pierwszego doświadczenia rozwijającego się w sobie talentu, nikomu, prócz własnej rodziny i kilku zaufanych przyjaciół, niepokazał, nieufny w siebie, bo wiele czytał; niezarozumiały, owszem nie śmiały, bo już znał doskonałych mistrzów

niezrównane wzory i porównywać je umiał; trzymał ten płód młodzieńczego wieku w ukryciu, poprawiał, gładził, doskonalił i dopiero w połowie jego wieku czytaliśmy wyjątki w pamiętnikach Będkowskiego, bo nie było jeszcze wtedy w zwyczaju, im mniej przygotowań, tem skwapliwsze pióro, puszczać na wiatr za lotem rozbujałej wyobraźni. W krótkce do ważniejszych przedmiotów zwracając pióro, zaczął je uprawiać na wielkich i nieśmiertelnych uczonych starożytności wzorach, prowadził je po kartach Cyclerona *de officiis* i z niego kilka rozdziałów szczególniej *de amicitia et senectute*, pod tytułem: *Cato Major*, na ojczysty język przełożył; tłumacząc, uczył się pisać; rozważając, uczył się myśleć i te myśli z ściślnością, prawdą i jasnością wyrażać. Z tego dzieła i jemu podobnych wyczerpał on dla siebie prawidła prywatnego i publicznego życia, z nich przejął się powinnościami człowieka, z nich pojął co mieć potrzeba w umyśle, co w sercu, co w przekonaniu, do czego nawykać, w czym się ćwiczyć, w czym doskonalić, czego dopełniać w młodym wieku i postępie lat, aby w starości nie czuć tęsknoty, owszem krzepiąc się obejrzeniem na przeszłość, bez zarumienienia i wyrzutu pocieszać zniedołężniały wiek, i przy zachodzie życia, z pogodą czoła czekać na przeznaczony koniec. Tak przyjemnie upływającą wiosnę wieku zatrula bolesna strata dwojga pierworodnych dzieci, po niej dla rozzerwania w smutku pogrążonej żony przedsięwziął podróż do Włoch, do tej uroczej ziemi przychylnego nieba, klassycznego kraju pamiątek i pomników zgasłych i odrodzonych wieków; wspólnie z teściem i żoną przez dwa lata zwiedzał wszystkie stolice, wślawione zbiorami arcydzieł, nauki, sztuk nadobnych i kunsztów, wszędzie zawierając związki z uczonymi i z ciekawością dobrze przygotowanego badacza rozpoznawał i smak doskonalił. Najdłużej zamieszkał w Rzymie, gdzie z usilną pilnością przebywając w pracowniach najślawniejszych mistrzów, przypatrując się wykonaniu ich tworów, wybadał tajemnice talentów, uprawiał oko do rozróżnienia znamion i charakterów pędzla i dłuta, którymi niegdyś wielcy starożytni i nowocześni mistrze obdarzyli świat arcydziełami geniuszu, i zniezmordowanego ucznia imię znakomitego znawcy osiągnął. Zyskał przystęp do biblioteki Watykanu, do przybytku propagandy; tam czytaniem i wypisami gromadził wiadomości, świadectwa i zapasy do dziejów ojczystych; wiele dzieł niewiadomych mu, wiele rękopismów nieznanych, z niemałym kosztem nabył. Wiele obrazów rzadkich, wiele starożytności z Herkulanum i Pompei i ruin starożytnego Rzymu nagromadził, wiele z nowożytnych pomników sztuki zakupił, a między niemi sławny posąg Perseusza, dłuta Kanowy, za który nie małą sumę wyłożył i którego drugi i jedyny wzór jest muzeum Rodementino ozdobą. Chodząc po roz-

walinach Kollizeum, po odnowionych Pantheonu przysionkach, po wspaniałych Watykanu świątyniach, kształcił smak na śmiałych a razem prostotą i harmonią zadziwiających gmachach, i tę naukę do nabytych przez siebie wiadomości przyswoił. Nieobojętny na to wszystko, co umysł unosi, serce rozrzewnia, ucho pieści, podziwiał czarujące włoskich mistrzów talenta, przecież nie od Czymarozy ani Brydzego, lecz od nieśmiertelnych rozum i duszę ludzką hartujących mistrzów; z których dziełami groby ich i popioły z uszanowaniem odwiedzał, przyniósł do ojczyzny dobrze przygotowane piersi; tak idąc za śladem Zygmuntofskich wędrowników: Zamojskich, Kochanowskich, Padniewskich, Myszkofskich, Górnickich, przypomniawszy uczonym Włochom owe świetne czasy, w których Sygoniusze i Murety, podziwiali w młodych polskich wędrownikach chciwą chęć oświecenia, oglądę obyczajów i naukę, z której zebrane plony na sławę swojej ojczyzny obracali. Bawiąc we Florencyi czy Parmie, aby późnych współziomków, Marona i Torkwata, wywiódł z błędnego uprzedzenia o twardości dźwięków języka polskiego, o którym sądząc pieszczoném uchem, za niezdolny go do poezyi i śpiewu mniemali, wyłożył koszt na ozdobne wydanie czcionkami polskiem w drukarni Bodoniego: „Poematu świątyni Wenery w Knidos, tłumaczonej przez Szymanowskiego;“ jakoż pod względem miękkości języka, łagodności dźwięków, delikatności wyrażen i gładkości rymów, niemógł podówczas między rymopisami polskimi lepszego wybrać wzoru.

Powracającego z tak drogimi zabytkami wychowawca i ucznia swego powitał Czacki nie tylko z radością, lecz z chlubą. Była to chwila, w której, za staraniem tego nieśmiertelnego męża, wielki nauk opiekun, cesarz Alexander, przeznaczył gmachy Krzemieńca na wzniesienie gimnazjum dla oświaty młodzieży prowincyi wołyńskiej; wsparli obywatele wołyńscy ten przyszły zakład zapisami znacznych na swoich dochodach. Tarnowski, jako posiadający majątek po żonie, nie dał się uposledzić w ofiarach, spólnie z małżonką hojny dochód zapisał, który potem znacznym kapitałem spłacił. Odtąd mieszkając ciągle w Orochowie lub Dzikowie, poświęcał czas zbieraniu ksiąg, szczególniej dzieł do narodowej literatury i wzorem wuja swojego w najskrytszych ustroniach wyszukiwał najdawniejszych bibliografii polskiej pomników, wiele najrzadszych odkrył, wynalazł, nabył i zgromadził, ciągle udzielając się mężom, pod tym względem podobne poszukiwania czyniącym, spoił się przyjaźnią z Józefem Dzieczkowskim, z Józefem Maxymilianem Ossolińskim, z Juszyńskim, z którymi wzajemnie udzielając sobie z naukowych ślęczeń otrzymanych korzyści, wspólnie z nimi pocieszał kraj wiadomościami o tych skarbach umysłowych zeszyłych wieków, jakie na łonie swoim mieścił; przecież te poszukiwa-

nia, ta panująca w nim od najmłodszego wieku szlachetna, że tak powiem, namiętność, nieodejmowały mu chwil, o które się powinność syna, męża, ojca i opiekuna młodziej rodziny, właściciela obszernych włości, dopominały, wszystkich z niezmordowaną pracą i poświęceniem się dopełniał. Majątek ojcowski urządziwszy, podzielił między rodzeństwo bez innego pośrednika, jak własnej cnoty i prawości serca, oraz nieograniczonej w nim młodszego plemienia ufności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wielgrzymka młodego Polaka z Bonn do Szwajcaryi r. 1841.

(Dalszy ciąg.)

Rozdział VI.

Alpy Bernu.

W naturze jest prawdziwa dla nas tajemnica, Nikt jej nie zna, nie widzi, a wszystkich zachwyca.

Wąską ścieżką wyszliśmy ze wsi; dróżyna idzie wzdłuż góry Furki, niewygodna, często niebezpieczna, lecz noga ostrożna i kij alpejski bezpieczny krok. Droga idzie ciągle pod górę, około 6000 stóp nad morzem; przez śnieg po raz pierwszy przeszliśmy; do szczytu jeszcze daleko. Wiatr był nieprzyjemny, góry gołe, tylko trawka licha i mech rośnie; tu na wysokości i źródła wyschły, cisza, nagie skały sterczą za nami, a przed nami lodowiska wodne (weisse Wasserfallgletscher). Tu chwilę odpoczęliśmy, a przekąsiliśmy trochę chleba ze serem i wzmoćniwszy się winem, co przezorna gospośnia Kapucyna dała na drogę, spieszyliśmy do lodowisk Rodanu. Między dwiema górami leżą lody odwieczne, piętrząc się coraz wyżej, aż Alpów szczytu dosięgną, białe z wierzchu, a w głębi jak niebios błękit jaśnieją. Lodowiska minąć i nogą na nich nie postać, tego mimo przestroż przewodnika przewyciężyć nie można; biegniemy na lód. Przepaść obok przepaści, a piękne jak kryształ niebieskawe jeziora, a w przepaściach dzikie z lodu kształty, to obelisku forma, to okna gotyckiego arkada; ciekawość coraz dalej nas wiedzie, aż powrotu zginęła nam droga i jak w labiryncie, bliscy brzegu, między przepaściami błądziemy. Mgły gęste kryją gór szczyty i deszcz z lekka pokrapia, aż dłuższem chodzeniem z lodowiskami oswojeni, nabrawszy odwagi, do brzegu drogę torujemy; a na brzegu piękna kwitnie róża alpejska i fiołek polny, tak przyroda zimne nawet lodu pola, nadobnym uwieńcza kwiatem. Ciągłe idziemy w dolinę aż do Rodanu, co uszedłszy lodowych więzów, bystre pędzi wody w południowe krainy; tu stoi gospoda, miły odpoczynek po sześćgodzinnej przechadzce; ze jednakże ciągle groził deszcz, spieszamy na nocleg. Prostopaść prawie ściana (Wajenwand), kamienie i krzaki po niej rozrzucone, a pomiędzy temi uciążliwa wije się

ścieżka. Dwie godziny pieliśmy się w górę; nagle mgła nas otoczyła i rzęsy nastąpił deszcz. Mijamy jezioro, *martwem* zwane; ciągle skały, drogi zaledwo dojrzeć, tyczki telegraficzne służą podróżnym za przewodnika do wielkiej gospody Grimsel. Było to 16go Września po południu, o godzinie 4tej noc już ciemna. W gospodzie wesoło, krzyk, wrzawa, śpiew, podróżnych już wielu w sali. Uprzejma gospośnia w stroju narodowym bernskim, stanik czarny aksamitny, czerwoną sznurowany wstążką, spodnica krótka, warkocze długie spadające na ramiona, przeznaczyła nam sypialne pokoiki, a widząc nas przemokłych, przyrzekła przysłać szlafroki; za chwilę przyniesiono dla każdego frak koloru burego, wdziałem na się frak, co na osobę potrojnej był przykrojony objętości i udałem się do sali do ogniska. Od dymu lulek zaledwo było można poznać towarzystwo, dość komicznie przybrane; wszystkich deszcz był spotkał, większa więc część lub podobne, jak my, miała fraki, lub też w wełniane przyodziana kołdry. Raz po raz goście przybywali, aż gospośnia oświadczyła, iż przyjechała cała karawana Anglików, pomiędzy temi cztery damy, przemokłe do nitki, któreby chętnie przy kominku się rozgrzały; kto w wełnianą był okryty kołdrę, ze względu na damy, musiał się ubrać, tylko fraki żółte pozostały. Ciekawi oczekujemy przybyłych; drzwi się otwierają, podstarzała weszła matrona, za nią trzy młode niewiasty, lecz spieszniej jeszcze zmarszczona wyszła, niezrozumiałe szepcząc słowa. Gospośnia, do której te słowa rzekła, przysłała natychmiast, aby nam rzecz wyjaśnić; Pani Morrey, to było Angielki nazwisko, powiedziała do niej: „że nie na to wychowała białe córki, aby się w szwajcarskiej zakopciły go, spodzie.“ Na takie dictum arcerbum odłożono luki, przewietrzono pokój i wysłano deputacją do obrażonej matki, zapraszając ją do sali. Przyszła jeszcze zasapana, lecz panny krasnego lica, humor matki wesołością swą wynagrodziły. Rozmowa, jak to bywa, toczyła się o powietrzu, o piękności gór szwajcarskich, aż gospośnia wygłodniałym przyjemną przyniosła nowinę, że już na stole. Był to niby obiad, niby wieczerza; nie zbywało na niczem, tak iż przy stole łatwo zapomniałeś, że daleko od ludzkich mieszkań wśród dzikich jesteś skał, zwierzyna wyborna, pieczeń kozy alpejskiej przypomina baraninę wielkopolską, a suty dessert kuchnią nadreńską. Odsunięto stoły. Szwajcarzy piękną narodową śpiewali piosnkę, potem tańce, pomimo grymasów Pani Morney; a gdy się wieść rozeszła, że jest Polak w towarzystwie, wszyscy ządali mazurka; Miss Eliza Morney nauczyła się muzyki, a Miss Julia, wychowana w Niemczech, puściła się mazura. O godzinie 10tej już bal się zakończył, bo nazajutrz trzeba rychło wyruszyć. Szaro jeszcze, wszystko w powstaniu, deszcz, śnieg, mgły, ani podobno iść dalej. Przy śnia-



Pierwszy most na drodze Ś. Gotharda.

daniu każdy zniechęcony niepogodą, pociesza się nadzieją. Towarzystwo liczne, na wesołości nie zbywa, wcale też przyjemnie dzień odpocząć, żeby tylko nie te niemiłosiernie rachunki przy odjeździe. Na wieczór znów taniec; wszyscy się na to zgodzili, że nazajutrz, mimo deszczu, ruszymy ku dolinie. Siódma godzina, każdy wybrany, mgła gęsta, karawana 36 osób podróżnych, 20 mułów i tyle pewnie przewodników, jakby wędrownka Żydów z Egiptu wyruszyła. Pan Welbb, grzeczny Anglik, widząc, że kilku Francuzów po dwóch siada na jednego muła, ofiarował mi miejsce na swoim, lecz krótka była uciecha, mgła zamieniła się w deszcz, droga śliska, bezpieczniej więc na własnych nogach. Niemożna niczego rozróżnić, tylko bystrzej Aar szumiące wody pod nami, a nad nami w mgłę obwinięte ogromne skały kształty. Po dwóch godzinach dosięgła nasza karawana gospody Handek; tu sławny wodospad, gdzie jedną stroną Aar 200 stóp spada, a drugą stroną równie wysoko Edlenbach, a w głębi bratnie łączą się wody. Droga odtąd ciągle wzdłuż Aar wiedzie; strumyki w górach powyrywały ścieszkę, trzeba brodzić przez wodę; mijamy uroczą dolinę Hasli; deszcz raz lekko kropi, znów dla odmiany potokami leje, aż nad wieczorem stanęliśmy w Meieringen. Tu wielka narada, trzy dni już

deszcz padał, niebo ciągle zachmurzone; cóż robić? czy czekać pogody, czy wsięść na pocztę i wracać? — Ranek pogodny rozstrzygnął sprawę. Piękna dolina, świeża po deszczu, w koło otaczają ją góry, zewsząd spadają potoki, woda po deszczu wezbrała, wodospady rześiste, na wschód jak pasy srebrne po górach wiją się Alpbach, Dorfbach i Mühlbach, a na zachód Reichenbach, co siedm tworząc kaskad, spada w dolinę. Skoro po wczorajszym deszczu suknie wyschły, zaraz znów w góry skierowaliśmy nasz bieg. Wszędzie po górach czyste płyną krynice; tu spoczniście panowie, rzekł przewodnik; źródło zowie się Sagebach; najczystsza i najlepsza z niego płynie woda, a ludzie mówią, że nikomu jeszcze nie zaszkodziła, że nawet zdrowie przywrócić może. Góry nie zbyt są wysokie, łąki bujne, okolice głośne pięknym bydlęm i dobrą paszą. Koło południa zaszliśmy do Rosenlavialp. Gospoda w pięknej leży dolinie; na północ średnie leżą góry, a na południe sterczą dwa Rogi Aniołów (Engelshörner) i wspaniałe Wellhorn, a w środku są lodowiska Rosenlavi, a z poza lodowisk wygląda szczyt góry Dossenhorn. Co tu za różnorodność; i błękit lodu, i czarne skały i biały śnieg, i liście zieloność! Dalej idziemy wzdłuż Alp czarnogórczych (Schwarzwaldf), a ztąd przez grzbiet



Monaster w Bazylei.

wielkiej Szeidek do Grindelwald doliny. Mgły gęste drogę nam mylą, noc zapadła; ujrzelismy dolinę, a ile na niebie wieczorem świeci gwiazd, tyle światel błyszczało w dolinie. Dość późno zaszedliśmy do Grindelwald; hotele wystawne; służący Francuz zaprowadziwszy nas na pokoje, zapytał, czy soupé lub herbatę à l'anglaise rozkażemy; znużeni, pozostaliśmy w naszym pokoju i wybraliśmy ostatnią; za chwilę samowar i tak piękne zastawiano filiżanki, jak w pierwszych hotelach Bruxelli. Ranek pogodny ukazał nam, co wieczorna ukryła mgłą; wzdłuż doliny śnieżne góry i lodowiska na południe się ciągną. Obok Szeidek, leży Wetterhorn, potrójnym ozdobnym szczytem, dalej Mattenberg przez

lodowiska od pierwszego odłączony, wyżej ukazują się dwa rożki, Fazelhörner, a nade wszystkie góry wznosi się Finsteraarhorn (13,200 stóp wysoki). Obok wsi leży Eiger, a do niego lodowiska Grindelwald się czepią, co z zimnego ich łona wytryska rzeczka, biała Luczynen. Ztąd wolnym krokiem, bo pod górę, a słońce dokucza, idziemy; wtém dźwięki jakieś zwracają naszą uwagę; nade dróżką siedzi pasterka, na desce ma rozpiętych stron kilka i dwoma uderzając drewnkami, przyjemnym głosem pasterską wtoruje piosnkę. W górach ludzie nadzwyczajnie są muzykalni. U stopy Eigeru zatrzymaliśmy się u pasterza, co dla pokrzepienia podróżnego w dolinie zbierał malin i śmietanki

zachował; tutaj cudne echo, co jak grzmotu łoskot, o gór szczyty się łamiąc, długo się rozlega, aż w Alpach zginie. Nowych nabrawszy sił, spieszymy na Wengeralp, aby przed południem widzieć spadające lawiny. Wengeralp około 6,500 stóp wysoka, a raz jeszcze tak wysoko biegną ku niebiosom szczyty rozłożonych przed twém okiem Alp. Śnieg wieczny kryje ich skronie. Eiger pierwszy w ich rzędzie, obok niego Mnich, biały jak Dominikanin; dalej Dziewica, trojębą ozdobna korona, a śnieg czysty, ludzką nietchnięty stopą, kryje dzikie skały kształty; obok Dziewicy Srebrne rożki (Silberhörnden) błyszczą w słońca blasku, za tém Blumlisalp, i Alpów bez końca, jak daleko oko dojrzy. Ze wszystkich najwspanialsza Dziewica, dumna swe czoło wznosząc w obłoki, śniegu ułomy zseła w dolinę. Dwojakie rozróżniają lawiny, jedne kuliste, co coraz się powiększają nim spadną, drugie lawiny kurzowe (Staublawinen), gdzie śnieg nie na raz spada, tylko pruszy; pierwsze niebezpieczniejsze, bo nagle wszystko zasypują, drugie z wolna. Napatrzwszy się śniegospadom do woli, bezpiecznie siedząc na murawie, wziąłem kosztur do ręki i znów szedłem ku dolinie. Droga spadzista; trzód bydła wiele, pasterze dmą na fujarach, wszędzie śpiew wesoty. Nade drogą blisko źródła siedzi dwoje dzieci; dziewczynka podróżnemu kryniczną w kubku ofiaruje wodę, prosi odpocząć na ławce i śpiewa z bratem piosnkę alpejską; są to sieroty, Hansli i Gritli, co w niedzielę i dzień świąteczny pięknym swym śpiewem od podróżnych zebrzą jałmużny. Tu ztąd czarujący widok na dolinę Lauterbrunnen; wąska dolina, na południe śnieżne odgraniczają ją góry, Szpalthörner i lodowiska Szmadri, co z nich mała rzeczka swą czerpa wodę; na wschód i na zachód zielone góry olgradzają widok ku Alpom, a ze skały spada, 900 stóp wysoko, Staubbach. W dolinie piękna wioska, ogrody i droga żwirowa szeroka, co oznajmuje bliskość wiele zwiedzanego miejsca, jesto sławne Interlaken. Wieczór już był ciemny, kiedy orzechową aleją weszliśmy do tego rajy szwajcarskiego; pierwsze domy zaraz dowodzą, że to nie wieś, tylko letnia siedziba bogaczy. Pałacyki, pawilony, ogrody, teatr, hotele wystawne, czytelnie, to zupełnie inny świat, jak ten, który przed dwoma widziałem godzinami. Interlaken, jak samo pokazuje nazwisko *inter lacos*, jest dla pięknego położenia między jeziorami i górami, dla miłego i łagodnego powietrza, całe lato obcymi napełnione, mianowicie jest tu Anglików, jak Szwajcar mówi, jak iglic w sosnowym boru. Cienista droga prowadzi na pagórek, gdzie są ruiny zamku Goldswil; tu ztąd najpiękniejszy widok na dolinę. Z dwóch stron ograniczona jeziorami, Brienz i Thun, a z dwóch zielonemi górami, z poza których śnieżną widać Dziewicę. Parowy statek zabiera podróżnych z Interlaken do Thun, przez jezioro

równego nazwiska. Brzegi jeziora bogate w wioski, dalej wysokie góry, a na tle Alpy śnieżne. Za 1½ godziny wjeżdżano do portu w Thun, w około piękne ogrody, belwedery na wzgórzach, zamek panuje nad miastem, kaplica angielska nad jeziorem dowodzi o znacznej liczbie przebywających tutaj wyspy mieszkańców. Tu rozłączyło się nasze towarzystwo, jedni szli ku Bernowi, my znów w góry.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Wydział literacki gostyński miał zaszczyt wezwania Dr. Neu w Gnieźnie o łaskawe udzielenie wiadomości o zamku Dybowskiem (jako wzmiankowano w sprawozdaniu z sessyi z 7. Maja w Nrze 2. roku VI. Przewodnika). Użytkawszy rysunek tego zamku wraz z dokładnym historycznym opisem, przesyłałam go wraz z listem Dr. Neu o poszukiwaniach hrabi E. Raczynskiego pod Gnieznem. Zdaje się, że zniżenie powierzchni jeziora świętego przypisać wypada silnej wegetacyi roślin błotnych, a mianowicie torfu, który w ciągu tak nadzwyczaj zarasta, jak o tém mnogie świadczą poszukiwania.

Mam zaszczyt donieść o odebraniu wielu wiodków ciekawych, a mianowicie z krakowskiego, które później Redakcyi przesłane będą.

Dnia 10. Sierpnia 1842 r.

List Pana Neu.

Szanowny Panie!

Teraz, gdy rozpoczęte przez hrabiego E. Raczynskiego poszukiwania tak dalece jak było zamierzone, koniec swój wzięły, sądzę być nie o rzeczy zdać sprawę o nich i o wypadku ich kilka słów powiedzieć. Ośmielam mu zasiać krótki prac rzeczonych opis i własne dołączyć uwagi, bystrzejszemu odemnie czcicielowi starożytności przedłożyć wątpliwości i zapytania, których rozwiązać nie umiałem, a które mi się w skutek poszukiwań owych nawinęły.

Co do miejsca, w którym bożyszczą polskie miano topić, nie jest ono bynajmniej tak oznaczone, że choćby na kilkadziesiąt kroków w dłuż i w szerz jaka taka pewność, albo podobieństwo jakie przypuszczonem być mogło. Jezioro święte zamieniło się w łakę i w trzęsawiska; liczba innych jezior zmniejszyła się także; na północnym lechickiej góry spadku, gdzie dziś ogrody i domostwa, gdzie ja sam teraz mieszkam, była dawniej woda; zgoła, trzeba było zdać się na instykt i ślepe szczęście. Tradycya miejscowa przywiązywała potopienie bożków do stawku zbyt odległego od świątyni Nii (albo Lela), a w samej rzeczy powtórne zgłębiania na téj wodzie nic osobliwego nie okazywały. Kopano trzy szeregi dołów, na łące, w jak największém (o ile się dało dla ogrodów) zbliże-

niu do góry Lecha, a mianowicie do kościółka Ś. Jerzego, stojącego na miejscu bałwochwalni; bo wniosek był taki, że topiąc bałwany, spieszono najbliższą drogą do jeziora. Drugi był wniosek, że jak powszechnie na ziemi, tak i tu wody ubyło przez tyle wieków, że tém mniej uchybimy, im więcej się zbliżymy do owego kościółka, ile że wiadomo, iż znaczna część spadku góry lechickiej zachodniego, powstała sypaniem ziemi i gruzów po kilkakrotném (przynajmniej z pewnością i za pamięci ludzkiej po ostatniem) zgorzeniu miasta.

Jakież był podziw, gdy na dnie dołów kopanych jeszcze się gruzy tu i owdzie pokazały! gdy świdy wpuszczone wydobywały to warsztwę mułu, to zbite korzonki trzciny, tataraku i łabuzia, to brunatnego torfu, i znów muł i szczątki drzewa, a w głębi dopiero 15' mniej więcej, czarną ziemię z piaskiem zmieszaną. Do czystego piasku nie doszliśmy dla niedostatecznych narzędzi, ale przyjęto 15' za tło czyli dno jeziorne, ale to w miejscach najbliższych góry, gdzie dziś łąka formalna. Większe było podziwienie nasze, gdy w innych dołach, równie bliskich brzegu, odkryto ławy czyli wążkie i niskie mosty, jakie bywają na błotach, w głębi 12' pod terażniejszą wody powierzchnią. Pod pierwszym mostem odkryto drugi nieco na ukos, (t. j., nie równoodległe) położony. Drzewo tych mostów było rozmaite; blochy dębowe, (raczej dranice) i sosnowe; i gać odkryto między obiema, i cegły i kamienie podłożone. Gdy koły zaciosane jeszcze tkwiały prostopadłe w ziemi, a wszystko było jakby nienaruszone, więc jawny wniosek, że mosty przysypano ziemią; głębokość także w tych miejscach wielka nie była, gdy zaciosane koły na 1—1½ stopy w głąb szły pod ławami. Jeden także pień z korzeniem (olszowy) przy ławach tkwiał, zapewne tam niegdyś rośl i ściętym został. Świdry tam wpuszczane torfu i mułu i nakoniec także z piaskiem pomieszanej ziemi dobyły. Ziemia wszędzie była czarna, siarką (może siarczystym wodorodem) cuchnąca, bardzo zbita, warsztami roślin zgnitych poprzerastana. Wyraźnie widać było warsztwy sinego, lipkiego mułu i ciemne warsztwy torfiastej ziemi. Tu i owdzie, chociaż pod torfem i w głębinie przeszło 15', pokazały się szczątki cegieł i skorup, tudzież muszle, drzewa, kości zwierzęce (na jednym miejscu zdaje mi się, że były piszczele ludzkie, lecz czaszki nie widziałem), wszystkie zczerniałe ale twarde, muszle miękkie dosyć i kruche, dały się łupać jak błyszczak, a choć zamknięte skorupy, to w środku pełno zgnitych roślin i mułu, ale nie wydające przykrego zapachu. Drzewa skamieniałego nie było nigdzie, tylko wszystko było miękkie, nasiąkłe, zczerniałe i koły olszowe tak kruche, że cięciem rydła przecinały się łatwo i gładko. Dębowe tylko koły i dranice w środku jeszcze były twarde i po części zdrowe. Na

powietrze postawiony kół dębowy, na około pękał i łupał się w dłuży słoju, a w pewnych odległościach w szerz. Cegły starożytne z wierzchu częścią ztopione, nie utraciły ani koloru, ani twardości prawie głazowej.

Kilka szczątków popielnic, z czarnej gliny, wydobyto. Były nie polewane i bardzo twarde i grube. Dno, albo raczej denko malutkiej popielnicy, albo zapewne słoika od łez, dostało mi się w ręce; z wierzchu proste, w środku było polewane i na samem dnie czarny osad (residuum). Ciekawsza jeszcze skorupa, którą u siebie zachowuję, jest cząstka popielicy z napisem, jak mi się zdaje, runickim, a zapewne słowiańskorunickim. Przyłączam rysunek w naturalnej wielkości (*). Litery zdaje się nie są wtłoczoną formą jaką, lecz wyrznię na miękkiej jeszcze glinie, przed wypaleniem.

Odkopano most aż do samego błót brzegu. Dalej macano świdrami, dla wybadania końca mostu, który był kilka tylko kroków, dalej na błoto idąc. To samo uważano u innego mostu, o kilka kroków tylko oddalonego od pierwszych ław. Po zasypaniu dołów, pomknęliśmy się na trzęsawiska. Szukano równoległemi, a na brzegu pionowo stojącemi liniami, idąc od północy ku południu w dłuży brzegów. Ośmiu ludzi stojąc na mostkach, z desek i kładzionych dragów zrobionych, macało dragami i żerdziami około 20—22' długości mającymi, na końcach w kończate żelaza okutemi. Te mostki sami sobie, dalej postępując, pomykali. Całkiem żerdzie wchodziły w głąb. Pod pływającą warsztwą traw i korzeni, jest woda czysta; głębiej, jakby na 5—7' pod linią wierzchnią zaczyna się muł i coraz zbitym będąc, utrudza wpychanie i wyciąganie dragów. W niektórych miejscach wyraźnie są trzy dna, przedzielone wodą, 9', 12' i 20' pod wierzchem. Domacano kamieni, ale nie wielkich; wzdłuż brzegu mnóstwo pniów olszowych 5—8' pod wierzchem. Dalej od brzegu, już na samej głębi, (bo w rowie, idącym od oparkanionego ogrodu XX. Wikaryuszów na około łąki seminaryjskiej), natrafiliśmy na pień dębowy wielki, któregośmy ani ruszyć nie mogli wspólną siłą i różnemi narzędziami. Zapewne urosły w swém miejscu, a z 12' pod wodą.

Zebrawszy to wszystko, okazuje się:

1. Że przynajmniej 15' pod dzisiejszym wierzchem była powierzchnia jeziora.

2. Że sądząc z miękkości i całości drzewa, owe ławy nie są jak parę (albo kilka set?) lat pod ziemią, lubo w tém bynajmniej nie pretenduję stanowczego zdania; gdy doświadczenie uczyć powinno, jak długo się drzewa rozmaite i w jakiej ziemi i t. d. konserwują. Dodaję tu, com zapomniał wyżej, że w dołach, choć najbliższych błota, woda się tak wolno i trudno

(*) Umieszczony będzie w przyszłym numerze P. I.

z wyżej położonego, prawie stykającego się błota przedzierala, ze robotnicy bez trudności ciągle kopać mogli, i woda nie przeszkadzała. Dopiero 12—15' głęboko, ziemia wyrzucana zaczynała być błotnistą.

3. Ze błoto dosyć prędko urosć musiało, dowodzą dwie nad sobą blisko kładzione ławy.

4. Ze w Gnieźnie natura osobliwszym sposobem działać musiała, odmiennym od zwykłego biegu. Bo dajmy, że jezioro przynajmniej 15' niżej było niż dzisiaj, trzeba także przypuścić, że połączone z niem jeziora, które i dziś w tej samej linii, tém samém korytem się ciągną, w którym jest błoto seminaryjskie, były 15' niższe. Po rudowaniu borów i spuszczeniu błot, i przez uprawę roli, wody ubywało musiało. Zkąd wszystkie nasze około Gniezna jeziora się podniosły, bo jeżeli seminaryjskie, to i wszystkie inne. Jeżeli zasypaniem brzegu woda wzbicie się mogła do góry, to tylko na tém jednem jeziorze, i o mało, a przy spuszczeniu to wnet się zrownąć mogło z drugimi wodami. Jeżeli zamknięte było i bez związku z innemi, toć mogło ułatwiać utworzenie się warsztów torfowych, które tonąc w ciągu lat, dno podniosły i wodę do góry wzbili. Lecz w pobliskich jeziorach śladów tego nie masz, owszem są dowody, że wody opadły. Kościół Śgo Krzyża stał na wyspie, dziś woda z dwóch go stron oblewa. Część ulicy tumskiej i ulica od przyjazdu poznańskiego, dawniej trzęsawiskiem okryta była, lubo to tłumaczyć się daje zasypaniem onychże.

Ale znów: zdjawszy 15' z powierzchni jezior, czy nie porobią się liczne półwyspy, wyspy? czy nie zniknie część jezior? czy nie przybędzie ładu? A wszak Damalewicz jeszcze liczy 5 jezior około Gniezna i Bularnią (na ulicy od traktu poznańskiego), wszak w aktach klasztornych czytam wyraźnie wzmiankę o rzece pod kościołem franciszkańskim, o rybach rzecznych w jeziorze Bielidle (pod Ś. Krzyżem). Któż to pogodzi?

W Gnieźnie, dnia 4. Sierpnia 1842 r.

Kronika literacka.

Pielgrzymka do Ziemi-Świętej, X. Hołowińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Widzimy powszechnie we wszystkich ustępach skreślających obrazy charakterów (w Pielgrzymce X. Hołowińskiego), nie pozorną znajomość ludzi wschodnich, których ten zdolny pisarz, chociaż w przelocie, pojął jednakże i oce-

nił. Z przyjemnością przenosim się wraz z naszym podróżnym w różne miejsca, słuchamy zajmujących i oryginalnych rozmów Turków, Ormijan lub Maronitów. Miło nam zwiedzać wraz z nim (choć ukradkiem) osmańskie meczety, miło przesuwać się złoczym kaikiem po Bosforze.

Wolelibyśmy jednak odbyć ten spacer o innej godzinie. Naprzykład wieczorem, pośród miesiąca Ramazanu, gdyż wtedy cały Sztambuł w ogniach czarodziejskich, szczyty minaretów uwieńczone przez ciąg nocy, jasnymi gwiazdami z lamp tysiąca, wszelkie nadbrzeżne kawiarnie lub pałace ubrane w różnobarwne kagańce, a nawet i burzliwe koryto Bosforu, z pod rudła i wiosel licznych kaików, jak gdyby bengalskim ogniem się powleka, kaizen kaik bowiem, ciągnie za sobą wstęgę ognistą jak ogon komety, a fosforyczność morskich topieli ubiera w promienie nawet Delfinów, wywracających koziolki. W dzień zaś wszystko błękitne, a z wieży Galata widać tylko liczne kaiki, snujące się jak jaskółki przed burzą.

Pierwszy tom Pielgrzymki zakończonym jest: Księgą siedmiu modlitw, przełożoną z arabskiego przez Augusta Zabę, ziomka naszego. Na początku drugiego tomu wprowadza nas autor na morze starożytniej Grecyi, najeżoną armatami dardaneelską cieśninę; opowiada zajmującą legendę o Leandrze i o pięknej Hero. Potém, malownicze ogrody Smyrny napawają nas rokosznie swą przecudną wonią. Ze szczytów starego zburzonego zamku, co niegdyś panował, a teraz duma nad Smyrną, i nad błękitną zatoką, spoglądamy na bieżące wody Melesu i na grootę wykutą w skale, w której chłodzie miał niegdyś odpoczywać książę Poetów świata. Wśród zwalisk pogańskiego Stadium, autor wskrzesza dwóch Chrześcian i Chrześciankę (Pioniusza, Asklepiusza i Sabinę); a ci, przedstawiają scenę z jak najżywszego dramatu! z dramatu „męczeństw Chrześcian!“ Dalej, przesuujemy się wraz z nim (myślą) po pod nieistnjącami już od lat 1200 nogami rodyjskiego olbrzyma. Widzimy snujące się po szczybatych wieżach poważne cienie Rycerzy-Mnichów; zwiedzamy Cypr urodzajny, i z brzaskiem pogodnego ranka, zdaje nam się widzieć Wenere przyppywającą na konsze do zielonych brzegów tej wyspy. Nareszcie przybijamy do syryjskiego brzegu, w najpowabniejszym miejscu, gdzie starożytny Bejrut wznosi się pod stopami poważnego Libanu.

(Dokończenie nastąpi.)